1. Listopada. **Nr. 1.** 1867 roku.

Wychodzi co piątku, z dodatkiem muzykaljów, mód, wzorów i krojów.
Ceną do końca b. r. . . — złr. 50 ct.
z dodatkiem . . . . . 1 „ — „
za pięć miesięcy . . . 1 „ 50 „
z dodatkiem . . . . . 3 „ — „

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie, w drukarni Kornela Pillera.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa razem z „Gazetą Narodową.“

Szanowni czytelnicy!

Nie przychodzimy do Was z długim spisem nazwisk sławnych autorów, którzy Pismu naszemu współpracownictwo przyrzekli, ani z programatem przyobiecującym to, czego dać nie bylibyśmy w stanie; ale w poczuciu potrzeby pisma, któreby odpowiadało słusznym wymaganiom, stajemy przed Wami ufni, że pracą zdobędziemy sobie stanowisko w szeregu pracowników na polu narodowych zasług.

Naszem zadaniem będzie: z czystością języka łączyć pożyteczne i przyjemne, a celem ostatecznym: dać czytelnikom w „Nowinach“ to, czego nam wszystkim tak bardzo potrzeba: pokarm ducha i rozrywkę wśród kłopotów życia.

Pomijając politykę i rzeczy ściśle naukowe, staraniem naszem będzie rozwinąć należycie w Pismie dział beletrystyczny, zwracając szczególniejszą uwagę na odpowiednie nowości; w myśl czego postaraliśmy się o korespondentów ze znaczniejszych miast tak w kraju, jak i za granicą.

Tygodniowy dodatek będzie zawierać, naprzemian: muzykalja, kolorowane ryciny mód, kroje i wzory z opisami.

Mody ze znanego we Lwowie magazynu mód p. Władysława Lewickiego.

Cena „Nowin“ do końca b. r. 50 cnt.; z dodatkiem mód itd. 1 zł.; za pięć miesięcy 1 zł. 50 cnt. z dodatkiem 3 zł.

Od nowego roku: rocznie 4 zł.; z dodatkiem mód i t. d. 8 zł.; kwartalnie 1 zł.; z dodatkiem mód i t. d. 2 zł.

Za przesyłkę pocztową dolicza się do prenumeraty 15 cnt. w. a. kwartalnie.

Moskal.

Powieść z ostatnich czasów

nie Bolesławity.

Wschodzące słońce rzuciło kilka dobroczynnych promieni do wilgotnej kaźni, i oświeciło leżącą na zgniłej słomie postać więźnia.

Był to młodzian mający lat około 25, ile z pierwszego rzutu oka wnosić się dało, postawy ujmującej i budowy silnej. Krucze czarne włosy spadały mu na ramiona; na nieco wciętych ustach igrał łagodny uśmiech — więzień śnił, może o wolności...

Skrzypnęły ciężkie drzwi więzienne i do kaźni wszedł żandarm, w towarzystwie żołnierzy. Zbliżył się do śpiącego, i dotknął go ostrzem pałasza.

— Wstawaj! — zawołał oschło, głosem którym oprócz żandarma moskiewskiego mówią jeszcze szatani w wypadkach szczególnych.

Więzień ocknął się, przetarł duże czarne oczy; spostrzegł żandarma.

— Przeklęte siepacze! — zawołał — tuzin waszych mozgów nie wynagrodzi mi snu, któryście przerwali!... Czego chcesz? — zapytał z gniewem żandarma.

— Zbieraj się!

— Cóż tam nowego?

— Wyrok — odpowiedział żandarm.

— Przecież! — rzekł więzień, z gorzkim uśmiechem — po trzech latach więzienia. A, no! pójdźmy posłuchać tego ciekawego wyroku.

Chociaż była dopiero 7 godzina zrana, mieszkańce powiatowego miasteczka byli już na nogach oddawna, i zebrany przed turmą lud powitał więźnia głuchym szmerem żalu i łzą nie jedną.

Więzień w towarzystwie żandarma i żołnierzy szedł ku domowi zamieszkiwanemu przez miejscowego sprawnika, moskala czystej krwi, bo mającego zwierzęcą dzikość, chciwego na pieniądze i pjanicę. Makar Fiodorowicz Pytkin uznany był przez władzę za człowieka na miejscu, a zostający pod jurysdykcją rządów tego satrapy na małą skalę, drżeli o swe mienie i wolność osobistą.

Zagrzmiały bębny; na ganku ukazał się sprawnik w towarzystwie kilku oficerów i urzędników; zmierzył wzrokiem więźnia.

— *Charosz sałdat budiet!* — mruknął (Dobry żołnierz będzie) i postąpił przed dom kroków kilka; wydostał z zanadrza papier, i czytał silnym głosem:

»Na mocy wyroku, Franciszek Barski, ze szlachty, za podżeganie chłopów do buntu w r. 1855, za niebłagonadiożne zachowanie się skazany zostaje na służbę w sałdaty, bez wysług, i ma być niezwłocznie odesłanym na Kaukaz.«

Głuchym szmerem przyjęli zebrani ten carski wyrok, a nie znalazłeś pomiędzy nimi takich, którzyby wierzyli w jego sprawiedliwość.

— Ha, ha! — smutnie uśmiechnął się Barski — to kara prawdziwa: chciałem wolności, siepacze zdejmują mi łańcuchy na to, bym w nie kuł ręce swobodnych Czerkiesów. Niech żyje carska sprawiedliwość!

Ostatnie słowa zagłuszył huk bębnów i dźwięk opadających więzów.

Dziwnego doświadcza się uczucia gdy po latach dźwigania, u nóg nam padną łańcuchy! Wówczas ręce zdają się być skrzydłami, zdolne unieść nas w kraj wolności... Barski musiał doświadczać podobnego uczucia, bo ani spostrzegł jak go posadzono na jednym z tarabanów, a wojskowy cyrulik zabrał się do obcinania włosów rekruta. Pęk czarnych kędziorów, który upadł skazanemu pod nogi ocknął go z zadumy. Łzy stanęły w oczach młodziana.

— Ostatnia oznaka własnej woli — rzekł smutnie — i tej car zabrania. Odtąd jestem tylko ślepem narzędziem zaguby mych bliźnich!... — Za chwilę czoło jego zajaśniało pogodą myśli: widział łzy współczucia w oczach znajomych i obcych; to go pocieszyło.

— Włosy odrosną — rzekł weselej — a com w piersi mej zamknął, tego mi nikt nie wydrze, i takim do was powrócę, jakim mnie wywożą. Bracia! niech żyje wolność! niech żyje ojczyzna!

Młodzieńczy zapał elektryczną iskrą przeszedł do serc innych, i zebrani jednym głosem odwtórzyli:

— Niech żyje!

— *Małczat'!* (milczeć) — zagrzmiał głos sprawnika, i kibitka z żandarmami stanęła przed gankiem.

— *Atprawlajsa!* — (Ruszaj) krzyknął sprawnik. Żandarmi wsadzili rekruta na kibitkę.

W tej chwili pomiędzy zgromadzonymi wszczął się ruch niezwykły. Jakiś powóz torował sobie drogę przez tłum do domu sprawnika.

— Miejsca! miejsca! — krzyczano w tłumie, i za chwilę do kibitki przypadła młoda trzynastoletnia dziewczynka, z płaczem wołając:

— Franio! gdzie mój Franio?...

Jednym rzutem młodzieniec znalazł się przy dziewczynce; porwał ją w męzkie ramiona, do piersi przycisnął, i łzy mu trysnęły z oczu.

— Róziu, siostrzyczko moja! — zawołał — sądziłem, że mi cię pożegnać nie dadzą.

— Ja ciebie nie puszczę! nie dam im mego braciszka! — wołało dziewczę, obejmując brata za szyję, i trwożnie patrząc dokoła.

— *Wot istorja!* — zaśmiał się Iwan Iwanowicz, pismowoditiel sprawnika, znana najpodlejsza figura w powiecie, który był świadkiem zejścia się brata z siostrą. — Płaczem licha nie odrobią! — dodał, złośliwie uśmiechając się.

Tyle było uroczystego w tej scenie pożegnania, że żaden z czynowników nie zwrócił uwagi na słowa pismowoditiela; sprawnik ponuro zwiesił głowę ku piersi, bezmyślnie patrząc na krzyż orderowy.

— Ktoż cię tu przywiózł? sierotko moja miła! — pytał Barski siostrzyczkę, całując ją w jasne zapłakane oczęta.

— Pan hrabia — szepnęło dziewczątko. — O! dziękuję panu, dziękuję! — dodała całując rękę sędziwego mężczyzny, który w tej chwili zbliżył się do Barskiego.

— Przywiozłem małą — rzekł — by cię pożegnać mogła, mój młody więźniu — a za chwilę dodał smutniej — Wielką masz przed sobą drogę; nie małe wydatki... przyjm to na opędzenie niezbędnych...

Barski z uszanowaniem zatrzymał rękę hrabiego, w której był woreczek z pieniądzmi.

— Panie hrabio — rzekł wzruszony — Zatrzymaj te pieniądze dla potrzebujących; ja mam ręce zdrowe, i dam sobie radę. Innej ja łaski chcę, szanowny panie. Oto moja siostrzyczka sierota. Dotąd byłem jej ojcem i matką; gdy mnie nie stanie, źli ludzie krzywdzić ją zechcą. Panie hrabio! dajcie jej swą opiekę, nie pozwólcie krzywdzić sieroty.

Hrabia ze łzami w oczach przycisnął proszącego do piersi.

— Niech cię Bóg chowa; a o siostrę bądź spokojny.

— Teraz w drogę! — wykrzyknął młodzian weselej — Panowie towarzysze — rzekł zwracając się do żandarmów — jestem gotów na wasze usługi.

— Franiu! Franiu! — jęknęła dzieweczka, z ramion swych nie wypuszczając szyi młodzieńca.

Barski pocałował ją w czoło.

— Róziu! otrzyj oczęta. Oto twój ojciec. Nie płacz i czekaj na mnie. Niedługo ja tu wrócę — dodał głosem jakby natchnionym — i da Bóg, nikt już z tej ziemi nie będzie tak wywożonym, jak ja w tej chwili. Dalej w drogę!

Dzwonek jęknął; Barski zbliżył się do kibitki.

— A mnie to chyba nie pożegnacie? paniczu Franiu! — ze łzami zawołał młody parobek, dotychczas stojący w milczeniu koło kibitki.

Barski porwał go w swoje objęcia i szczerze do serca przycisnął.

— Dmytro! — rzekł rozrzewniony — Od dziecka żyłem z tobą; a choć obadwa jednakowo oraliśmy ziemię, coś nas dzieliło... i to był grzech! Uściskaj mię bracie! a gdy taki uścisk wszystkich nas połączy, wtedy będziemy szczęśliwi. Bądźcie zdrowi, bracia! ojczysta ziemio, bądź zdrowa!

Wszyscy wybuchnęli głośnym płaczem; obstąpiwszy kibitkę żegnali więźnia.

— Bądź zdrów Franciszku! bądź zdrów; a powracaj do nas.

— Powrócę, bracia! Do widzenia! — wołał skazany — i z wami także panowie czynownicy! — dodał, zwróciwszy się w stronę sprawnika; i w tej chwili ujrzał szesnastoletniego wyrostka w szkolnym mundurze, którego twarz zalaną była łzami.

— I ty płaczesz — zawołał więzień z rozczuleniem — Syn sprawnika płacze nad losem skazanego; to największa dla was kara, siepacze! Panie kapitanie! te łzy syna może cię kiedyś od zguby ocalą.

Sprawnik zbladł miwowolnie; chwycił syna za rękę, i gwałtownie krzyknął na kibitkę:

— *Paszoł!* (Ruszaj).

Jemszczyk gwizdnął na konie, kibitka ruszyła.

— Bądźcie zdrowi! żegnajcie! Róziu!... panie hrabio! — wołał skazany z kibitki; ale głos jego zginął w tysiącznych okrzykach żegnających go, i setki krzyżów popłynęły w ślad za skazanym, drogę jego czyniąc błogosławioną.

Daleko za miasto przeprowadzono tłumnie kibitkę. Barski kłaniał się na wszystkie strony; łzy mu twarz zalewały, a w sercu było tak błogo, jak dziecku żegnanemu przez rodziców, gdy odjeżdża do szkoły. Rodziną skazanego był ten tłum żegnających go na daleką drogę.

Pył drogowy zakrywał kibitkę. Skazany długo stał na niej, powiewając chustką ku żegnającym go; wreszcie i dzwonek słabiej dawał się słyszeć, dźwięk jego rozpłynął się w przestworzu — więzień znikł z oczu, ale nie z serca tych, którzy go kochali.

Hrabia, z płaczącą Różą, ostatni powrócił do miasta.

Na ganku jeszcze stał chmurny sprawnik i szatańsko uśmiechający się piśmowoditiel.

— *Czewo dobrawo!* (Kto wie) — przerwał milczenie sprawnik — chłopiec *bojkij* (dzielny) dosłuży się oficera, i dopieroż nam podziękuje!...

— Kapitanie — zachrzypiał Iwan Iwanowicz — na Kaukazie więcej kul, aniżeli patentów oficerskich.

— Twoja prawda — uśmiechnął się sprawnik — Chodź, napijemy się wodki.

Iwan Iwanowicz potulnie szedł za swym pryncypałem do pokoju; a w myśli mignął mu dworek Barskiego, jasna twarzyczka jego siostry Rózi...

Na usta piśmowoditiela wybiegł szkaradny uśmiech szatańskiego łakomstwa; spazmatycznie skurczył palce, i rzekł półgłosem:

— *Uwidim!* (Obaczymy).

Dla wyjaśnienia rzeczy dodamy tu, że Barski był synem czynszowego szlachcica; po ukończeniu szkół osiadł na roli, i żył z włościanami jak z braćmi; gdy wojna krymska zdawała się podawać niejakie nadzieje, Barski stanął na czele włościan, żądających swobody dawnej kozackiej woli. Ruch się nie powiódł, bo był za mało określony i popularny tylko w Kozaczyźnie; Barskiego osadzono w więzieniu, z którego, jak widzieliśmy, wyszedł sołdatem na bojową linję Kaukazu. (C. d. n.)

NOTTURNO.

O piersi moja, jako smętna trumna!
Ty nie ziszczonych marzeń zamknij szczątki,
Jak ona bądź ty tak cicha i dumna,
I taka trwożna o błahe pamiątki
Zdane jej łonu, tak szczelnie zamknięta,
I samą tylko wiecznością zajęta.

Jeśli wesela gwar przeciągnie z boku,
I na dno twoje głuchym jękiem spadnie,
To ty nie wychodź z mogilnego mroku,
Bo kiedy wyjdziesz — wnet im twarz pobladnie,
Tym, co ze śpiewem ciągnąc, w chwili trwanie
Są bardziej ufni, niżli w zmartwychwstanie.

Lecz jeśli jęk rospaczy twoją deską
Zatarga, — wtedy ty nie bluźń milczeniem, —
Wtedy ty odrzuć mu strofą niebieską,
Co niby z jęku wstaje, lecz pod cieniem
Anielskich skrzydeł wiary i miłości
Duszę ukoi, pokrzepi, rozgości.

A sama bądź ty wiecznie czuwająca,
I ciągle w jasną wieczność zapatrzona,
I jako harfa, kiedy wiatr ją trąca
Wydaje dziwne echa z swego łona, —
Ty także, choć cię wiatr owiewa zimny
Tajemnym szmerem nuć wieczności hymny.

J. T.

Hymn odwiecznych.

My pod sztandar nie stajem mocarza!
Nie natchnęli do walki nas króle:
Przez myśl bożą co światy przetwarza,
Idziem cicho na ostrza, na kule.

I nie ten bój nasz tylko, co krwawy,
Co rumieni globowe półkule:
To srośzego są tylko objawy,
Gdy na ostrza nam przyjdzie, na kule.

Naszem hasłem nie głos jaki ziemski,
Nie wywiodą nas w boje czcze bulle
Ale jasny nasz wid betleemski
Wiedzie w blaski przez ostrza, przez kule!

Zwyciężonych dziedzictwa nie palim,
Lecz Wszechducha je wnosim szkatule —
My budujem, a nigdy nie walim,
Nie mord wiedzie na ostrza nas, kule. . .

Nie po laury my idziem, lecz palmy,
Zawsze na nas śmiertelne koszule!
Nucąc z ducha odwiecznych prawd psalmy
Idziem cicho na ostrza, na kule. . .

B. K.

Kłopot pana Bonifacego.

RAMOTKA.

Z łysiny pana Bonifacego powszechnie wnoszono, że byłby uczonym, gdyby się był czego uczył; ale ponieważ pan Bonifacy, będąc Faciem strzelał bąki i łapał gawrony, a Fackiem zostawszy uganiał za dziewczętami — nic więc dziwnego, że nie został chudym uczonym, ale panem Bonifacym o czerwonych policzkach, okrągłym brzuchu i głowie łysej naprzekor przysłowiu!

Pan Bonifacy wcale się z tem nie taił, że byłby został kawalerem, gdyby go nie ożeniono z panną Filomeną, obecnie najzacniejszą żoną pod słońcem, i matką czterech jego córek: Minci, Finci, Ginci i Pinci, umiejących pięknie dygać, rumieniąc się po białka swych siedmiu oczu, bo taką tylko liczbą rozporządzały we czworo.

Rzecz uwagi godna, że pan Bonifacy dobrze trawił, a herbata sen mu odbierała, szczególniej gdy jaką godzinkę drzemnął po smacznym objedzie.

Tyle też było troski pana Bonifacego! gdy pominiemy mniej znaczącą okoliczność: że ucho zarastało mu gęstym włosem, gdy nad uchem wcale włosów nie było. To niekiedy martwiło pana Bonifacego, nie tak jednakże, by nie miał dobrze trawić i spać smacznie.

Z tem wszystkiem pan Bonifacy był bardzo szczęśliwym, szczególniej, gdy go zrobiono kandydatem na deputata — urząd, za którym pan Bonifacy wzdychał od lat trzydziestu.

Ale choć tak szczęśliwy i na kandydaturze do znakomitego urzędu, pan Bonifacy nie był w stanie odgadnąć żadnej, nawet najprostszej zagadki.

Przed trzema laty dowiedział się był, a dotychczas nie przestał się dziwić, że gdy

„Z wierzchu łój — we środku nici,
Jak zapalić, to się świeci“

że to ma oznaczać świecę!

— Dla czego świeca? — pytał pan Bonifacy samego siebie; a przez cały ten czas odpowiedzi na pytanie nie znalazł. Bo jużci, mogło to być tak dobrze świeca, jak i nie świeca... bo świeca jest poprostu świeca, a nie: z wierzchu łój, we środku nici — jak zapalić, to się świeci...

— Ot, wymysły, żeby tylko głowy ludziom suszyć! — mówił pan Bonifacy. — Daj no mi fajkę chłopcze! — i w kłębach dymu zniknęła zmora zagadkowa; a choć się ponownie ukazała we śnie, w postaci łoju i nici — pan Bonifacy zawsze trwał przy tem, że świeca powinna być świecą i basta!

Byli tacy, którzy patrząc na poważne oblicze pana Bonifacego, upewniali innych, że dużo myśli — tymczasem mylili się bardzo! Pan Bonifacy palił fajkę, pił kawę, patrzał na przelatujące kawki, na drób, nierogaciznę — ale też na tem koniec! Myśl wychudza, daje chorowitą cerę; a pan Bonifacy miał burakowe policzki, intratny folwark z gorzelnią, żonę i cztery dorodne córy. O czemże miał myśleć! szczególniej gdy go zrobiono kandydatem na deputata...

Pan Bonifacy miał czyste sumienie, wyborny apetyt i wszelką pewność, że zbawionym zostanie... a przecież znalazły się osobistości, które go za to wszystko — uważajcie, państwo! przezwały — pasibrzuchem.

— Źli to ludzie! zazdrośni i niepoczciwi — mówiła pani Bonifacowa, z którą we wszystkiem zgadzał się pan Bonifacy, wyjąwszy gdy barszcz nie był zaprawiony szpyrką, której nie lubiła żona, a nadewszystko przekładał małżonek.

Ani się opatrzył pan Bonifacy, jak poczciwie, z wielkim pożytkiem dla roli, którą uprawiał, przeżył pół wieku. Powiedziała mu o tem pani Bonifacowa, jeszcze w łóżku złożywszy najserdeczniejsze życzenia małżonkowi. Za nią weszły do sypialni Mincia, Fincia, Gincia i Pincia, i z kolei wyrecytowały mozolnie, trzy miesiące naprzód, wyuczone powinszowanie, skoncypowane przez pannę Kunegundę, ochmistrzynię panien Bonifacówien.

Śliczne powinszowanie rozrzewniło pana Bonifacego, panią Bonifacowę i pannę Kunegundę, — i solenizant wstał z łóżka rzeźwy jak dawno nie był; z wielkim apetytem spożył trzy szklanki kawy, miary szarogrodzkiej, z takiejże liczby bułkami, wypaliwszy przy tem trzy stambułki; aż też i pora przyszła udać się na mszę świętą, a następnie jeść i pić z łaskawymi sąsiadami, którzy przybyli na pieczeń i nalewki solenizanta.

Świetne były imieniny pana Bonifacego, jak podobnych dawno nie pamiętano w okolicy, o ile że i pan Marszałek zaszczycił wszystkich swoją obecnością, — i gdyby przy sobie nie miał jakiegoś czarta uczonego, który nie dawał spokoju solenizantowi, zarzucając go mądremi pytaniami — pan Bonifacy byłby dnia tego najszczęśliwszym z ludzi.

Ale przysłowie powiada: „Przyjdzie kréska na Matyska.“ Aczkolwiek pan Bonifacy w życiu swem nigdy Matyskiem nie był, wypadło i jemu się przekreślić.

Od wyjazdu Marszałka z imienin, spadł pan Bonifacy z tonu, jakby mu wszystkie okręta zatonęły na morzu. Źle spał noc całą, chociaż pił lekką herbatę i na wpół z rumem jamajskim Balinieckiej fabryki. Nazajutrz wypił tylko dwie szklanki kawy, a stambułkę wziął bez kapuścianego musztuczka, i jak siadł w poręczowem krześle, tak się nie ruszył aż do drugiego śniadania.

Widocznie robak jakiś gryzł pana Bonifacego, którego nie zdołał on zagryźć mohylowską wędliną, ani utopić w szklance dereniaku.

Panią Bonifacowę to bardzo zasmuciło; a Mincia, Fincia, Gincia i Pincia niezawodnie by płakały, bo czułe w nich były serca, gdyby nie cygan z tańczącym niedźwiedziem, który do łez rozśmieszył wszystkich; ale nie pana Bonifacego... ten tylko kiwnął ręką, jak człowiek co powiada: już mi nie pozostało wiele!... i wcale nie patrzył na niedźwiedzia.

Nie jadł pan Bonifacy barszczyku ze szpyrką, a przynajmniej tak jak nie jadł, bo tylko dwa talerze; kapuściane gołąbki próżno błagały go tłustemi łzami, by je w ciepłem schronieniu umieścił... Pan Bonifacy odwrócił od półmiska wzrok bolesny, i westchnął, ciężko westchnął. Pani Bonifacowa załamała ręce, i za jedno z d r o w a ś ugotowała mężowi gorzkich ziółek dla wzbudzenia apetytu. Ale pan Bonifacy ziółek nie pił; w obie dłonie wziął osmutniałą głowę, zwiesił ją ku piersiom, i

— Daj mi pokój, kobieto — wyszepnął.

Długo żyła pani Bonifacowa z panem Bonifacym, a nic podobnego nie słyszała z ust męża. Przeraziło to ją i zmartwiło bardzo. Usiadła koło pana Bonifacego, i wziąwszy go pod obwisły półbródek jedną ręką, a drugą na gruby kark położywszy, zaczęła wypytywać:

— Co ci to, kochanie! Co? słowiczku luby!

Słowiczek sapnął jak miech organu w czasie *Agnus Dei* i — Nic mi, nic — rzekł z cicha, a po niejakiej pauzie, dodał: „Ja — myślę.“

— Jezus Marja! — najnaturalniej wykrzyknęła pani Bonifacowa — A tobie co się stało?...

Na szerokie usta pana Bonifacego wybiegł bolesny uśmiech.

— Myślę — powtórzył, i ręką potarł łyse czoło.

— Zostaw mię samego, Filciu — rzekł wreszcie do żony — bo mi przeszkadzasz.

Pani Bonifacowa była tak zdziwioną, że nie umiała przyjść do słowa, i machinalnie będąc posłuszną woli męża, odeszła, żegnając się krzyżem świętym.

Dziwne rzeczy działy się z panem Bonifacym: tarł wysokie czoło, liczył na palcach, tupał nogami, bił o stół kułakiem, sapał, potniał, biegał po pokoju i znów rzucał się na kanapę, przeklinał świat cały, a przecież co chciał wymyśleć, nie wymyślił!

Nie jadł podwieczorku ani kolacji; do poduszki, jak zwykł był, nie wypił nalewki; nawet się nie kładł do łóżka, i trupią bladością lica przeraził nazajutrz całą rodzinę, aż panna Kunegunda krzyknęła:

— Święty Gaudenty! a panu co się stało!..

Chwiejącym się krokiem wyszedł pan Bonifacy na środek pokoju, bolesnym wzrokiem spojrzał dokoła; długo walczył ze sobą, aż boleści przebrała się miara, i kandydat na Deputata ryknął, łez nie mogąc powstrzymać.

— Filciu! jestem bardzo nieszczęśliwy!

Ledwie to wyrzekł, Filcia już była na jego szerokiej piersi, — Mincia, Fincia, Gincia i Pincia uczepiły się bioder i łydek pana Bonifacego, mieszając swe łzy ze łzami rodziców. Panna Kunegunda cożywiej dobyła chustki do nosa, i oczy nią tarła. Nawet B o s y schował ogon pod siebie, i zawył, patrząc na płaczącą grupę.

— Dzieci, zostawcie mnie z matką — rzekł pan Bonifacy głosem człowieka piszącego testament. — Muszę z nią na osobności pomówić.

Dzieci głośnym kwartetem płaczu odpowiedziały na słowa ojcowskie, a ucałowane przez pana Bonifacego w osiem swych policzków, wyszły tym sposobem, że panna Kunegunda wzięła za ręce Mincię, Mincia Gincię, Gincia Fincię, a Fincia Pincię, i zostawiły rodziców sam na sam w pokoju.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika artystyczna.

Skarżyłem się już nieraz na istnienie tytułów i nazwisk na świecie, na ową słabość ludzką narzucania każdej rzeczy jakiegoś imienia, które często tylko część znaczenia jego wypowiada. Dziś mam znowu tę samą skargę na ustach, bo oto musiałem ująć w nazwę kroniki artystycznej to wszystko, czem nieraz pragnąłbym podzielić się z wami, szanowni czytelnicy i piękne czytelniczki. Zapytacie mię może: dlaczegom nie dobrał innego wyrazu? Ba! są rzeczy tak nieujęte, o kształtach tak mglisto zarysowanych, że nakryć je jedną nazwą niepodobna. Są one jak mleczna droga na niebie wieczornem, co niewiadomo gdzie się zaczyna, niewiadomo gdzie się kończy, niewiadomo wiele światów zawiera w sobie. Widzimy tylko pas jasny na niebie i nazywamy go naiwnie: mleczną drogą. — Otóż i moja kronika artystyczna jest taką drogą mleczną; może ona zawrzeć w sobie najrozmaitsze światy, najrozmaitsze dziedziny, a zawsze jednak będzie miała tę samą ciasną nazwę na czele. Mógłbym dać jeszcze inny tytuł: k r o n i k a a r t y s t y c z n a i t. d. Wiem jaki ma urok to i t. d. dla wielu ludzi, co skłonni są do wiary w cudowność, którzy lubią słodkie objetnice i pieczone gołąbki. Nie wiem, czy mi się udała charakterystyka tych ludzi, którzy z natury są mistykami, a mistyfikowanymi stają się z powodu zewnętrznych okoliczności. Nie moja wina, że mistycyzm i mistyfikacja są to wyrazy z jednego źródła zaczerpnięte, i dla tego tak podobne do siebie. Otóż powtarzam: wiem dobrze, że to i t. d. oddziaływałoby wybornie na wyobraźnię tych ludzi i zachęcało do czytania mojej kroniki; ale tu mi stanęła na przeszkodzie skrupulatność redaktorska, owa sucha ochmistrzyni o surowem obliczu, zawsze uśmiechnięta i skrzywiona zarazem, zawsze gotowa karcić wybryki, gotowa kometom obcinać ogony, bo to nieprzyzwoicie, gotowa księżyc umyć i obetrzeć (gdyby go dostała) bo jest z a m u r d z a n y. Moje więc i t. d. zostało w jej ręku, jak niebezpieczna zabawka, z rąk swawolnika odebrana.

Och i t. d.! rozstać się z niem nie mogę! Znałem ludzi, bardzo szanownych nawet, którzy każdą myśl kończyli na i t. d. Robiło to na mnie wrażenie, jakie sprawia widok wieży gotyckiej, która szczyt swój we mgłach zatapia, albo jeszcze lepiej: widok głębokiej nocy na obrazie, na którym wszystko zlewa się w jedną czarną płaszczyznę. Od tej szkoły malarskiej, jako od nocy poczęcia, albo pierwotnej nocy, choasu, U r n a c h t (mógłbym tu przytoczyć kilka greckich wyrazów i jeden sanskrycki) powinienbym rozpocząć moją kronikę artystyczną, i przypomnieć moim łaskawym czytelnikom ową prawdziwą anegdotę o obrazie przedstawiającym przejście żydów przez morze Czerwone, ponieważ obraz ten należy do szkoły wspomnianej. — Było to w. . . umyślnie nie wymieniam czasu, miejsca i nazwiska. — Pewien przyjaciel sztuk pięknych, nie należący jeszcze do żadnego towarzystwa (było to bowiem za owych błogich czasów kiedy ludzie żyli w świętej zgodzie z sobą, i żadnych towarzystw nie tworzyli niepotrzebnie) zapragnął mieć na ścianach swego salonu wielki obraz *al fresco* przedstawiający cudowne przejście Mojżesza z wybranym narodem przez morze Czerwone. Malarzy był brak wielki; nie tak jak dzisiaj, gdzie więcej jest malarzy, niż dobrych obrazów. Jakkolwiekbądź nasz przyjaciel sztuk pięknych znalazł sobie malarza, któremu odkrył myśl swoją. Malarz podjął się tego dzieła z warunkiem, ażeby rozwinięcie pomysłu należało do niego wyłącznie, i żeby mu nikt podczas roboty nie przeszkadzał uwagami swemi, a nawet wzrokiem. Stało się, jak chciał. Po kilku dniach i tyluż nocach pracy następuje uroczyste odkrycie obrazu. Właściciel obrazu nateża całą uwagę; zasłona podnosi się i o nieba! cała ściana jest na czerwono umalowaną. — Co to jest? pyta pomieszany i zdziwiony nasz przyjaciel sztuk pięknych. — Jestto morze Czerwone, odpowiada spokojnie malarz. — Jakto? a Izraelici? — Już przeszli. — A Faraon, a egipcjanie, gdzież ci są na miłość Boga? — Jak to, pan nie wiesz, że ci zatonęli w morzu; wybrałem właśnie tę chwilę tragiczną, gdy fale zwarły się nad bezbożnym monarchą.

Są ludzie, wiem ja dobrze, którzy w każdej rzeczy szukają na końcu sensu moralnego, i nie mogą się obejść bez niego, jak bez czarnej kawy po objedzie. Dla nich to więc muszę powiedzieć, że z tej bajeczki sens moralny taki . . . . ale nie! wolę zamilczeć, niech się choć raz domyślą sami. Bo to prawdziwie zanadto rozpieszczono tych ludzi, zawsze im kładąc łopatą do głowy ten sens moralny. I jakież ztąd skutki? Oto ci ludzie tak się odzwyczaili myśleć sami przez się, że kiedy im ktoś wielkie brednie prawi, ale zakończy szumnobrzmiącym sensem moralnym, w rodzaju ozdobnego kapitelu przystawionego do kolumny głupstwa, idą spać spokojnie w największej ufności, że jutro słońce zejdzie, i tak samo będą im dawać sens moralny na zakończenie każdej niedorzeczności.

A jednak gdybym na tem zakończył dzisiejszą kronikę artystyczną, nie wiem, cobyś o mnie powiedział, mój czytelniku. — Czego też pan chcesz właściwie, panie Dobrodzieju, i dla czego do spokojnych czepiasz się ludzi? Co to jest za kronika artystyczna, proszę pana, w której nie ma nic o a r t y s t y c z n o ś c i. — Otóż tak nie będzie, i na zakończenie chcę powiedzieć słów kilka o najnowszej wystawie obrazów pana Sidorowicza.

Pan Sidorowicz jest młodym artystą, o którego talencie wyrokować dziś nie godzi się i nie można. W każdym razie z dzieł artysty umieszczonych w ratuszowej sali wywnioskować można, iż będzie wcale dobrym portrecistą. W portretach jego koloryt jest niezmiernie prawdziwym, wyjąwszy portretu podobno siostry malarza, przedstawionej w całej postaci, portret, który się bardzo nie udał artyście. W utworach oryginalnych jest widoczną nieśmiałość i sztywność, tak właściwa początkującym artystom. Nie można mu jednak doradzać, ażeby silił się na twórczość i oryginalność, bo te same, nie wołane przychodzą, i na nic się nie zdadzą wszelkie magiczne zaklęcia, ku zwabieniu ich przedsiębrane. Natomiast nie można za mało doradzać studjów nad naturą i nad utworami mistrzów. Zdaje się, że tę drogę kształcenia się obrał sobie pan Sidorowicz.

Wypada mi tu także powiedzieć słów kilka o teatrze. Jest rzeczą powszechnie odczutą, że literatura nasza wchodzi w perjod dramatu. Nie tyle przemawia za tem większa liczba niż zwykle powstających pisarzy dramatycznych, co pewna fermentacja wewnętrzna w społeczeństwie na korzyść dramatu, skutkiem której musi być powstanie nowych teatrów, a podnoszenie się i rozwijanie dawniejszych. Przy takiem nastrojeniu publiczności istniejące ziarna talentów dramatycznych nie mogą marnie zaginąć; a mówię tu tak o autorach, jak i aktorach. Lwowski teatr dał już scenie dobrych aktorów, prawdziwych artystów, a przedewszystkiem aktorki; ale plagi ciężące nade Lwowem pozbawiały go najczęściej szczęśliwego doboru artystów. Jedną z tych plag jak wiadomo, są hrabiowie galicyjscy, dla których artystki nasze gotowe są zamienić życie pełne swobody i istotnego szczęścia artystycznego, życie aktorki, na dość nudne, choć pozłacane życie hrabiny. Dzisiaj, jakkolwiek stan naszej sceny, w porównaniu do innych scen prowincjonalnych, a może i do wiedeńskiej jest dość znośnym, nie idzie zatem, by o podniesieniu jej nie myśleć. Braki są wielkie. Przy takiem nagromadzeniu sił artystycznych jak dzisiejsze, zupełnie dobrze można chyba przedstawić nie wielką komedyjkę. W dramacie poważnym, w tragedji, dla charakterów silnych, z których

starcia się wypada gromem katastrofa — dla takich charakterów kolosalnych nie mamy wcale odpowiednich artystów; cóż mówić dopiero o charakterach Hamletowskich, o owych głębiach okiem niezmierzonych i warczącemi na dnie źródliskami. W roli traicznego kochanka ani p. Królikowski, a tem mniej p. Szymański wystąpić może. Gra pana Królikowskiego kwalifikuje go zupełnie do ról poważnych w dramacie, lecz nie do roli kochanka. Deklamacja pana Szymańskiego, niestety nie jest grą, ale deklamacją tylko; czasami, bardzo rzadko udaje się p. Szymańskiemu uchwycić szczególnie jeden moment w grze, ale to na bardzo krótko. Powtarzam więc, rola traicznego kochanka nie jest obsadzoną, choć sam zaraz przyznaję, że jest to najtrudniejsza rola jaka istnieje, a zatem trudna do obsadzenia. Gra p. Nowakowskiej (jak n. p. w niedawno przedstawionej Iskrze) jest artystycznie wykończoną, jest jedyną grą może, która sprawia na widzach zupełne i niczem nienaruszone zadowolenie artystyczne. Można się domyślać, że w grze tej artystki leżą jeszcze miny wielkiego bogactwa sztuki; a potrzeba pragnąć, żeby nie zaniedbała ich rozwinąć. Z komicznych talentów p. Nowakowski jest nieco za trywjalny w komizmie swoim, gra p. Linkowskiego odznacza się prawdą i starannością.

Tyle na dziś o teatrze. Zamykam moją gawędę wzmianką o perspektywie artystycznej Lwowa, w której już dziś zdołamy rozpoznać koncerta i wieczory Towarzystwa muzycznego i szkoły muzycznej p. Kozłowskiego, wystawę sztuk pięknych, podjętą przez Towarzystwo przyjaciół tych sztuk, wieczory literackie, i wiele a wiele innych rzeczy, które nam późna jesień i wieczory zimowe obiecują.

El.

Mody.

Modo! ty odwieczna zmiennico, zawsze strojąca się i wyczubiona, — wielką jest twoja potęga! Żyjesz całe wieki, przenikasz sobą wszystkich i zhołdowujesz każdego — od króla do wieśniaka każden cześć ci oddaje. . . Najwyższym jednak dowodem twojej potęgi jest to, że służyć ci muszę. Tak jest, moje szanowne czytelniczki! ongi roiłem, że zdobędę światy, że do mych nóg wszystko upadnie, a dziś — oddano mię na usługi tej, której zamierzałem rozkazywać — będę z wami mówił o modzie.... Zakrawa to nieco na ironję losu; coś nakształt zrobienia wielkiego fiasco w karjerze życiowej.... ale przykrość zawodu osładza mi myśl, że gwarzyć mam z wami piękne, przed któremi jedynie tylko schylałem dumne me niegdyś czoło; że wy myślą i chęcią towarzyszyć mi będziecie w tej modnej wycieczce na morza koronek i batystów, w lasy burnusów, sukień i całej litanji innych ubiorów, któremi posiłkujecie się szturm przypuszczając do nieopancerzonych serc męzkich, co jak zerwane kwiaty upadają wam pod nogi. . . Chciałem powiedzieć po prostu, że serca te plackiem padają przed wami; ale zrobiono mię uważnym, że to może popsuć mi opinję grzeczego kawalera, znającego się na konwersacji; a ja byłem w Paryżu, moje panie, i widziałem modę w jej stolicy, jakkolwiek podówczas nie sądziłem, że zostanę jedną z tromb, w które ona dąć będzie własną sławę. . . Ale stało się! przebaczcie panie podstarzałemu (a może lepiej nie przyznawać się do wieku?) a więc — dojrzałemu gadule, i raczcie pójść ze mną na wały hetmańskie naszej nadpełtewskiej stolicy. . . Owoż nowa ironja losu i pociecha, że nie sam tylko jestem od niego prześladowanym! Gdyby mogły myśleć, czy pomyślałyby kiedy ziejące zabójczym ogniem w szeregi nieprzyjaciół warowne wały, że w roku 1867 staną się miejscem spaceru pięknych pań i wystawą ich równie pięknych ubiorów, że łącznie ze mną wreszcie będą służyć modzie? A jednak tak się stało co do joty, choć żaden prorok nie zapowiadał przyszłych losów naszych t. j. moich i wałów hetmańskich, na które dość jest wyjść w niedzielę o 1szej z południa, ażeby przypatrzeć się różnym kaprysom mody, i jej dziwnym gustom.

Najpierw wpadają w oko (szczęściem, że nie szkodliwie) zęby, któremi zdobią się dzisiejsze ubiory kobiet. Dawniej o zębach mówiono jako o perłach, rzadziej do ucha o ząbkach kobiecych, by na nie nie wpaść; ale teraz maska zrzucona! co było w ukryciu występuje na wierzch: zęby masz na sukniach wierzchnich, zęby u kaftaników, zęby u rękawów, zęby na szyi, i ząbki perłowe ogrodzone linjami ust koralowych. . . To jedna charakterystyka mody ostatniej! (Jednak pod słowem tem nie należy nic złego rozumieć!..) Druga o wiele od tamtej donioślejsza, i tak niespodziewanie okazała się światu, że nie śmiemy wierzyć rzeczywistości. Oto krynoliny, może w przewidywaniu wojny francuzko-włoskiej zmalały nad wszelki wyraz; bardzo wprawne tylko oko zdoła dopatrzeć ich obecności; a właściwie i nie oko, bo przed niem groźne żelaza krynolin zakrywają inne części ubrania; ale ów zatracony zmysł, który w nas pozostał już jako zgadujący tylko przytomność krynoliny.

A owe kapelusiki figlarne, tak wdzięcznie ubierające piękne twarzyczki; którym zresztą we wszystkiem jest pięknie! owa rozmaitość kolorów, barw, które mienią mi się w oczach, gdy u słupków stanąwszy, całą przestrzeń wałów mam przed sobą; suknie z wykładniami na plecach a krojem przypominające strój grecki, buciki z koreczkami, za które nie pojmuję dla czego, nie dano medalu Hanickiemu na powszechnej wystawie w Paryżu! wiązania wstążek, szpinki, opięcia etc. etc.! bo wszystko to opisać, wypowiedzieć człowiek nie jest w stanie. . . O modo! modo! dziwną jest twoja potęga, i gdybyś niemal z codzienną twą odmianą przynosiła nam nową a brzęczącą monetę — jestem pewnym, że w każdym domu galicyjskim czytanoby moją tygodniową pogadankę, w każdym domu mianoby rycinę mód dodaną do 1go numeru „Nowin“, której nie mogąc wam piękne panie okazać, jak chyba za marny kruszec, który niestety! jest nam bardzo potrzebny — pozwólcie, że ją wam opiszę tak wiernie, ażeby słowa zastąpiły rysunek i farby oryginału. Miejsce pierwsze na rycinie zajmuje młoda 17toletnia panienka — dziwnie piękna a ubrana podług mody ostatniej w upiętą suknię, ciemnego koloru, z pod której widoczą śnieżnej białości spodnica, w wielkie ułożona fałdy, za pomocą krochmalu i żelazka; kaftanik w zaokrąglone zęby, cudnie zarysowuje kształtną jej kibić; piękne uczesanie włosów i kapelusik z piórkiem dopełniają całości ubrania *don Cezar*, który nic wspólnego nie ma z Juljuszem Cezarem Napoleona III. jakkolwiek niepomiernie, wraz z całą postacią pięknej nieznajomej, oddziaływa na drugą postać ryciny, młodego mężczyzny, również ubranego podług ostatniej jesiennej mody, a wręczającego książkę — nie wiem czy do nabożeństwa, — młodej dwunastoletniej dziewczynce, zapewnie siostrze owej nieznajomej, która figurując na rycinie „Nowin“ jest.... nie mniej ani więcej jak tylko bohaterką straszliwego romansu, gdyby go Dumas pisał, a zarysu powieści, gdy ją pięknym czytelniczkom podam.

Młody pan X. kocha się w pannie Y. wzajemnie od niej kochany; pośredniczką ich miłości jest mały aniołek Z. siostra panny Y, która w oczach pana X. rozwija się jak piękna róża z pączka, i po trzechletnej najszczęśliwszej miłości z panną Y.

wyrasta na cudną pannę Z. która owłada sercem młodzieńca, naraz uczuwającego w swem łonie straszliwy ogień miłości dla dwóch sióstr: cudnej Y. i jeszcze cudniejszej Z. Położenie okropne! o ile że pan X. nie jest turkiem, i dwóch żón mieć nie może.

Następuje sztraszliwa walka uczuć, która wywołuje cały szereg przerażających obrazów: pojedynki, sztylety, trucizna, łzy, jęki i zgrzytania zębów — rozwiązanie swe mające w tem, że panny Y. i Z. wychodzą za mąż — nie za pana X., a ten zaś, z prawdziwej rospaczy — żeni się z brzydką, starą kapitalistką, zjada smaczne objady, pali dobre cygara, i myśli o wytoczeniu procesu redakcji „Nowin" że poważyła się na rycinie swych mód umieścić jego wizerunek, wraz z pannami siedemnasto i trzynastoletnią, ubranemi w najświeższe mody jesienne.

A nie wiem, czy też panie wiecie, że moda wiele ma wspólnego z metampsychozą egipską?.. O ciekawej tej rzeczy powie wam w przyszłym numerze „Nowin" wasz sługa,

Niemodny.

Rozmaitości.

— P. Młocki ogłosił wydawnictwo dziełek ludowych. Szlachetny cel będzie najzupełniej chybiony, jeśli ludowi nie podamy naukę w mowie jego macierzystej. Nie należy zapominać, że dziecię wiejskie mowy książkowej nie zna tak dobrze nad Wisłą jak i nad Dniestrem; tam więc jak i tu początkową naukę prędzej sobie uswoi, gdy mu ją w żywem macierzystem słowie podamy.

— Zmarły niedawno w Warszawie polski kompozytor Ignacy Dobrzyński urodził się w Romanowie na Rusi w r. 1807. W r. 1853 został dyrektorem opery polskiej w teatrze wielkim; następnie nie zgodziwszy się z jenerałem Abramowiczem, owczesnym prezesem teatrów warszawskich, opuścił to stanowisko, i utrzymywał się z dawania lekcyj. Symfonje, spiewy świeckie i religijne, opera Flibustjery sławą okryły imie zmarłego, zasłużenie zjednawszy mu nazwę największego kompozytora polskiego. Zmarły pozostawił nieukończoną operę Krzyżacy, największe dzieło Dobrzyńskiego, jak utrzymują znający częściowo wielką tę pracę zmarłego. Cześć jego pamięci!

— Oprócz dwóch stałych teatrów we Lwowie i Krakowie mamy jeszcze pięć towarzystw dramatycznych na prowincji; mianowicie: Towarzystwo p. Miłosza Sztengla, ze stałą siedzibą w Stanisławowie. Jest to niezaprzeczenie trzeci teatr w Galicji, a repertoarzem swym prześciga sceny stołeczne; towarzystwo p. Woźniakowskiego, mające tę wielką zasługę, że dociera do miejsc, które nigdy pierwej sceny nie widziały; towarzystwo p. Bendy, zdolnego artysty, ale mniej szczęśliwego dyrektora; pp. Modrzejowskiego i Łobojki; istnienia dwóch tych teatrów nie możemy sobie wytłumaczyć; szczególniej ostatniego, któren się składa z dzieci przezwanych aktorami, i dyrektora, od lat kilku dającego dowody, że ani talent ani wykształcenie nie dają mu prawa przewodniczenia scenie polskiej.

— Z wystawy paryzkiej: Wystawa *porcelany* stanowi najświetniejszą część działu francuzkiego. Pierwsze miejsce zajmuje porcelana Sewrska z fabryki rządowej, celująca wielką rozmaitością swych wyrobów, smakiem artystycznym i nowością wzorów i ozdób. Fabryka w Sèvres zatrudnia najlepszych rysowników i malarzy ornamentalnych i dla tego to wyroby jej tak bardzo przewyższają przemysł prywatny. Nic nie może iść w porównanie z pięknością tych naczyń wspaniałych, waz, dzbanów ozdobionych najpiękniejszem malowidłem. Malowanie na porcelanie jest osobną sztuką, a doszło tak wysoko, iż zdaje się dorównywać malarstwu olejnemu; posiada ono wyłączny wdzięk miniaturowego wykończenia, ale potrzeba ażeby było posunięte do takiego mistrzostwa, jak go u widzimy.

— Jakkolwiek wrogo występuje rząd moskiewski w prowincjach zabranych przeciwko żywiołowi polskiemu, widzimy wszelako, że życie polskie nie zamarło tam zupełnie. Ostatnimi laty wydano w Kijowie 7 rozmaitych polskich broszur, z których trzy doszło rąk naszych, a mianowicie: 1) Samuel Łaszcz, strażnik litewski. Opowiadanie historyczne. Kijów 1865 r. 31 — XIII. Rzecz opracowana starannie, prostująca niedokładność wiadomości o Łaszczu, podanych w Encyklopedji powszechnej; 2) Jeden rozdział do przyszłej księgi przysłów polskich. Kijów 1867 r. str. 85 — i nakoniec 3) Wyjątki z pisma p. t. Filozofja Sławiano-celtycka w Kijowie b. r. wydane, bez początku i końca.

Nic podobnego, utrzymujemy z całą pewnością, nie zjawiło się w literaturze nie tylko polskiej, ale i ogólnie ludzkiej. Na próbę podajemy tu pierwsze lepsze parę wierszy: „Meksyk jest hebrajskie Maksa czyli pole, na którem ośle ogórki rosły; a Pr. jest mianem muła, którego matka kuropatwa K+rpa czyli klacz dziewicą była" i t. d. To szczęście, że autor nakład swej filozofji ograniczył do liczby 60 egzemplarzy!

— W Poznaniu umarł w Sierpniu b. r. zdolny rytownik St. Łukomski. Prace zmarłego zdobią ilustrowane wydania pisarzów polskich przez J. K. Żupańskiego.

— Zaszczytnie znany u nas z występów artysta dramatyczny z Warszawy Jan Królikowski zagrożony został zupełną utratą głosu. Drugi to już artysta warszawski podpada tej chorobie, bo i p. Swieszewski podobnie był zagrożony utratą głosu. P. Królikowski udał się do Reichenhall dla kuracji.

— Pewna osoba fotografując się we Lwowie zastrzegła sobie, by kliszę zniszczono po dokonaniu fotografji, niechcąc zapewne ażeby jej wizerunek służył za przedmiot handlu. Pomimo solennego przyrzeczenia p. fotograf, korzystając z wyjazdu wspomnianej osoby, nie tylko że szkła nie zniszczył, ale fotografję dał na wystawę, i mimo upomnienia słownego i listownego takowej z okna nie usunął. Tym fotografem, nieszanującym woli osób dających mu sposób do życia jest p. Rodecki, fotograf przy ulicy Majera.

— P. Kozłowski otworzył nową szkołę muzyczną we Lwowie. Zdolności dyrektora, dobór nauczycieli rokują szkole wielkie powodzenie. Biedni a utalentowani pobierają naukę bezpłatnie.

(Teatr). Dnia 28. b. m. w dramacie Halma p. t. Gryzelda występowała po raz pierwszy w roli tytułowej panna Górecka z Warszawy. Debiutantkę wahamy się zaliczyć do początkujących, bo w grze jej widzieliśmy nie mało rutyny i nawet uswojenie sobie pewnych scenicznych zdrożności. Deklamacja poprawna, skala głosu wystarczająca, zrozumienie roli i jej oddanie naturalne — to strony dodatnie debiutu; ujemne, chcemy mniemać, są do zwyciężenia. Pna G. przy pracy może mieć piękną przyszłość na scenie.

— Sławny ilustrator paryzki Gustaw Dorée, umawia się z angielskimi przedsiębiorcami o ilustrowanie wszystkich dzieł Szekspira. Za pracę swą żąda artysta 20.000 funtów szterlingów; dają mu 16 tysięcy. Wielki talent, ale i wynagrodzenie niemałe.

— Na uniwersytecie w Dorpacie było w ubiegłym półroczu 582 słuchaczów. Z tych 264 rodem z Liflandji, 117 z Kurlandji, 72 z Estlandji, 16 z Królewstwa Polskiego, 110 z innych prowincyj cesarstwa, 3 z zagranicy.

— Uniwersytet kijowski, który przed powstaniem liczył 2.000 uczniów, ma ich obecnie nie spełna 500.

Jak wiadomo, Polakom czynią największe trudności, przy wstąpieniu na uniwersytet; liczba kandydatów jest ściśle ograniczoną.

— Pewien niedawno zmarły spekulant wiedeński pozostawił swym krewnym blisko milion w gotówce. Z tej sumy 40.000 złr. przeznaczył umierający na cel wynajęcia z odsetków rocznie loży w teatrze dla swych sukcesorów, z warunkiem, ażeby po wszystkie czasy była obitą czarnem suknem; w przeciwnym razie suma ta ma być oddaną na cele dobroczynne. Właściciel teatru nie zgodził się mieć takiej loży u siebie, i przekazana suma oddaną została na cele dobroczynne.

— Liczbę pism wychodzących obecnie w Paryżu podają na 758. Cyfra ta zdaje się być przesadzoną.

— Niedawno miał miejsce w Londynie Meeting celem postawienia pomnika Byronowi. Słuchano rozpraw z uwagą, ale na pomnik nie dał nikt ani jednego penny. Dowód to jak bardzo niepopularnem jest w ojczyźnie imie genjalnego Byrona, dla tego zapewne, że zbyt cierpko wyrażał się o Anglji.

— Patrjotyczność młodzieży ruskiej godna jest wszelkiego uznania. Po większej części synowie ubogich rodziców, młódź gimnazjalna i akademicka ruska, drogą składek dobrowolnych podtrzymuje narodowe pisma, drukuje książki, dopomaga uboższym kolegom.

Siłami jedynie młodzieży wydawano ostatnimi laty następujące pisma: Weczernyci, Meta, Nywa, Ruśka czytalnia, Ruśkyj

teatr, Rusałka i wiele innych książek i broszur; obecnie wydaje młodzież pismo literackie Prawda, redagowane w duchu antimoskiewskim, drukuje poezje Szewczenki, Fed'kowicza, słownik, a ostatnimi czasy złożyła składkowy fundusz na cele literackie, wynoszący do 30. września 305 złr. 50 ct.

Powtarzamy: niepodobna odmówić tej młodzi zasłużonego uznania, a ze wszech miar zasługuje, by ją stawiano jako wzór dla innych.

— W Antwerpji w sierpniu b. r. miał miejsce międzynarodowy zjazd archeologiczny. Z Polaków brali udział w tym zjeździe pp. Przezdziecki Aleks. i E. Rastawiecki.

— Poemat Lessinga Natan mędrzec doczekał się kilku przekładów w języku polskim. Najlepszym jest obecnie drukujący się w Warszawie przekład p. H. Toeplitz.

— Offenbach nie ustaje w pisaniu oper. Oto które przyobiecał na zimę: dla teatru des Menus Plaisirs „Genviere de Braband,“ dla Porte Saint Martin „Panurga,“ dla opery komicznej „Robinson,“ teatrowi Chatelet „Gulivera;“ a w Palais Royal z pewnością całą zimę dawać będą jego „Życie paryskie.“ Taka płodność niezawodnie z korzyścią jest dla kompozytora na razie, bo mu przynosi znaczny dochód; ale bardzo wątpimy, żeby mu to posłużyło do sławy w przyszłości.

— Jak zapewnia Bibl. Warsz., najlepszym przekładem „Piekła“ Dantego ma być znajdujący się w rękopiśmie po zmarłym L. Kamińskim, pułkowniku wojsk polskich.

— Na powszechnej wystawie w Paryżu zwraca uwagę sztuczna ręka wynalazku p. Beaufort. Składa się z drzewa i tektury; ma być nadzwyczaj lekką i niemal w zupełności zastępuje rękę naturalną; zaletą zaś jej: taniość, tak że najuboższy może się w nią zaopatrzyć.

W czasie krymskiej kampanji towarzysz p. Beaufort stracił obie nogi i ręce; chęć ulżenia strasznemu losowi kolegi, była matką tak dobroczynnego wynalazku, któremu kalecy błogosławić nie przestaną.

— W okolicach Smoleńska przy łomie kamienia odkryto szczątki cerkiewki, której budowę odnoszą do połowy XII. wieku, za czasów waregskich.

— Miasto Dubno na Wołyniu, założone przez ks. Ostrogskiego, następnie będące w posiadaniu familji ks. Lubomirskich, obecnie przechodzi na własność moskala Nikitina. Galerja portretów familji Lubomirskich przeszła, drogą licytacji, — w ręce żydów!...

— Król Ludwik XIV. jechał ulicą Paryża, a jakkolwiek ciepłe miał na sobie futro, drżał od przeraźliwego zimna; na zakręcie ulicy spotkał młodego człowieka, który w letnim tużurku szedł najswobodniej gwiżdżąc brukową piosenkę. Uderzyło to króla; zbliżył się do młodego człowieka i pytał: czy chłodu nie czuje?

— Wcale nie, Najjaśniejszy Panie!

— Jakimże to sposobem? Ja w futrze drżę od zimna...

— Na ogrzanie mogę udzielić ci Sire bardzo prostą radę: włóż Najj. Panie całą swą garderobę na siebie, jak ja to uczyniłem, a z pewnością chłodu nie uczujesz.

Król podziękował za dowcipną radę.

— Znany moskalofil ks. Gołowacki został profesorem uniwersytetu w Odesie. Samo przez się rozumie się, że dla uzyskania tej posady musiał przyjąć religję prawosławną.

(?) Pan Filip, potomek w prostej linji znanego Filipa z Konopi, za łaską nieba zostawszy starym kawalerem, mieszkał w kamienicy Lewakowskiego na 3ciem piętrze. Od lat niepamiętnych zajmywał pokój czterołokciowy, bardzo ciepły, a mało wentylowany, na którego drzwiach była przybitą karta, mająca pretensję do wizytowej, z napisem: „Filip“.

Pożyteczny ten członek ludzkości, od lat kilku sypiał godzinkę po objedzie w takim spokoju, jaki jest dostępny ludziom mającym czyste sumienie i objad u Matollowej w rynku!... Ale wszystko ma swój koniec, znalazł się on i dla poobiedniej drzemki p. Filipa, którego obudziło pewnego dnia gwałtowne stukanie do drzwi pokoju.

P. Filip struchlał, bo nic podobnego nie zdarzyło mu się od lat przynajmniej dziesięciu; a nie było czego, bowiem pokazało się, że tylko prosta omyłka spowodowała owo gwałtowne do drzwi stukanie, które tak dalece podziałało na nerwy p. Filipa, że aż musiał fifkę wina wypić u Sztadmillera.

Nazajutrz znowu obudziło go ze snu takież same stukanie, i znowu była to tylko omyłka; grzeczne jednak „przepraszam!“ nie wynagrodziło przerwanej drzemki, i p. Filip zmartwił się i posmutniał widocznie... Obawa, że po raz trzeci będzie musiał wydać szóstaka na wino, odjęła mu sen nocny, ale może spowodowała, że myśląc długo, wreszcie wymyślił sposób zabezpieczający go od napaści: wielkiemi literami napisał na kartce „wyszedł“, i przybił ją tuż pod słowem „Filip“.

— Słowo to musi każdemu wpaść w oczy i będę miał spokój — mówił p. Filip, wdziewając nankinowe okoliczności, bowiem było lato i 7ma godzina uderzyła na wieży ratuszowej.

Wdział kapelusz, rękawiczki, które już zapomniały kto je na świat wydał; zamknął drzwi i chowając klucz do kieszeni, z przyjemnością odczytywał przez parę minut: „Filip — Wyszedł“ i znów do góry: „Wyszedł — Filip“; wreszcie strzepnął kolorową chustką pył z klapy surduta, i 80 stopni przebywszy, znalazł się na ulicy. Spojrzał na kamienicę; przekonał się, że jest tą samą, którą zna od lat tylu, i poszedł na kawę; po jej wypiciu zaś znalazł się na wałach. Na nic nie zwracając uwagi, krokiem przyśpieszonym, ruszył przed statuę Jabłonowskiego, dla przekonania się: czy hetman nie zwrócił się twarzą do Narodnego domu? Nie! kamienny rycerz nie zmienił swojej pozycji, co bardzo ucieszyło p. Filipa, bowiem Rusinów nie lubił od chwili, gdy mu na jarmarku pod św. Jurem wyciągnięto chustkę z tylnej kieszeni, fularową z czerwonemi kółkami na dnie żółtem.

Spojrzał na Pełtew i kichnął dwa razy; to dowodziło, że lwowski Dunaj nic ze swych własności nie stracił; gdyż p. Filip codziennie patrzał na rzekę, regularnie kichał dwa razy, i to mu służyło! Nie brakło ani jednego drzewa po obu stronach wałów; woda sodowa ściągała swych amatorów do których nie liczył się p. Filip! raz tylko spróbował tego nektaru, ale gdy go tak w nos uderzył, że mu aż w mózgu ciepło się zrobiło — dał spokój, i nigdy odtąd do budki nie zaglądał; natomiast codziennie przypatrywał się trafice, będącej na końcu wałów, i z przyjemnością uważał, że stale od lat kilkunastu jednakowo malowaną jest w czarno-żółte kostki.

Godzina 9ta wybiła na ratuszu; była to godzina, w której p. Filip udawał się do swego pomieszkania; jakoż poszedł, ale tak go uderzyła okoliczność, że kartka o wynajęciu pokoju była przylepioną na drzwiach do góry nogami... tyle mu to dało do myślenia, że ani się spostrzegł, jak wyszedł na 3cie piętro.

Tu stała się rzecz szczególna. Pan Filip, po raz pierwszy od lat 10ciu ujrzał na swych drzwiach napis „Wyszedł“ i bardziej go to uderzyło, aniżeli kartka na dole.

„Filip wyszedł — Wyszedł Filip“. Rzecz szczególna!

Ponieważ jednak kartka wyraźnie mówiła, że Filipa nie ma w domu, gdyż wyszedł — nie pozostawało tedy nic innego jak tylko wrócić... Chociaż to jakoś dziwnem było dla pana Filipa... wszelako kartka tak przekonywająco trafiała do jego rozumu, że — wrócił! Z przykrością towarzyszącą niezastaniu osoby, do której szliśmy, przebył 80 schodów, i na ulicy dopiero zadał sobie bardzo ciekawe pytanie: dokąd ma się udać? — Naturalnie, że do domu! A no, toć słuszna... Muszę pójść do domu! I poszedł; ale już na piętrze drugiem poskrobał się p. Filip za uchem, co zwykł był czynić w chwilach ważnych, i zapytał siebie:

— Pocóżem ja złaził? — Pytanie racjonalne; ale odpowiedzi nań jakoś znaleźć nie mógł... Podobno jednak domyślił się oco chodzi, bo natychmiast zdarł kartkę, i narażając się nawet na przerwanie poobiedniej drzemki, nigdy odtąd nie zawiadamiał samego siebie o swem wyjściu z pomieszkania. — Zgoła niewiadomo, czy tego nie uczynił, gdy pewnego razu powędrowawszy na Łyczaków, nie wrócił więcej do pokoju na 3ciem piętrze; mniemamy jednak, że ciekawość interesowanych w tej mierze mógłby zaspokoić p. Lewakowski, którego najłatwiej zastać można w kawiarni teatralnej, będącej jego własnością.

Dodatek: kolorowana rycina mód i listy zwrotne.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.